Stefan Żeromski

Syzyfowe prace (fragment)

Termin odstawienia Marcina do szkoły przypadł na dzień czwarty stycznia.

Obydwoje państwo Borowiczowie postanowili odwieźć jedynaka na miejsce. Zaprzężono konie do malowanych i kutych sanek, główne siedzenie wysłano barwnym, strzyżonym dywanem, który zazwyczaj wisiał nad łóżkiem pani, i około pierwszej z południa wśród powszechnego płaczu wyruszono.

Dzień był wietrzny i mroźny. Mimo to jednak, że szczyty wzgórz kurzyły się nieustannie od przelatującej zadymki na rozległych dolinach, między lasami, zmarznięte pustkowia leżały w spokoju i prawie w ciszy. Szedł tylko tamtędy zimny przeciąg, wiejąc sypki śnieg niby lotną plewę. Gdzieniegdzie wałęsały się nad zaspami smugi najdrobniejszego pyłu jak pyłek przyduszonego paleniska.

Chłopak siedzący na koźle, podobny do głowy cukru opakowanej szarą bibułą, w swym spiczastym baszłyku, który w tamtych okolicach od dawien dawna uległ nostryfikacji i otrzymał swojską nazwę maślocha, i w brunatnej sukmanie — mocno trzymał lejce garściami ukrytymi w niezmiernych rękawicach wełnianych o jednym wielkim palcu.

Konie były wypoczęte, nie chodziły bowiem od pewnego już czasu do żadnej ciężkiej roboty, toteż pomykały, parskając, ostrego kłusa po ledwo przetartej, a już znowu na pół zadętej drożynie, i sucho, jednostajnie trzaskały podkowami o nadmarzniętą zwierzchnią skorupę śniegu.

Pan Walenty Borowicz ćmił fajkę na krótkim cybuszku, wychylał się co kilka minut na bok i przyglądał uważnie już to sanicom, już migającym kopytom. Wiatr go chłostał po zaczerwienionej twarzy i on to zapewne wyciskał owe łzy, które szlachcic ukradkiem ocierał.

Pani Borowiczowa nie siliła się wcale na maskowanie wzruszenia. Łzy stały bez przerwy w jej oczach skierowanych na syna. Twarz ta, niegdyś piękna, a w owej chwili wyniszczona już bardzo przez troski i chorobę piersiową, miała niezwykły wyraz namysłu czy jakiejś głębokiej a gorzkiej rozwagi.

Malec siedział „w nogach”, tyłem do koni. Był to duży, tęgi i muskularny chłopak ośmioletni, z twarzą nie tyle piękną, ile rozumną i miłą. Oczy miał czarne, połyskliwe, w cieniu gęstych brwi ukryte. Włosy krótko przystrzyżone „na jeża” okrywała barankowa czapka wciśnięta aż na uszy. Miał na sobie zgrabną bekieszę z futrzanym kołnierzem i wełniane rękawiczki. Włożono nań ten strój odświętny, za którym tak przepadał, ale za to wieziono go do szkoły. Z niemego smutku matki, z miny ojca udającego dobry humor wnioskował doskonale, że w owej szkole, którą mu tak zachwalano, przyobiecanych rozkoszy będzie nie tak znowu dużo.

Henryk Sienkiewicz

Krzyżacy (fragment)

Rozdział szesnasty

W lasach o milę na wschód za Kownem, które sam Witold zniszczył, stały główne siły Skirwoiłły, przerzucając się w razie potrzeby błyskawicą z miejsca na miejsce, czyniąc szybkie wyprawy bądź to w granice pruskie, bądź na zamki i zameczki będące jeszcze w ręku krzyżackim i podsycając płomień wojny w całej krainie. Tam to znalazł wierny giermek Zbyszka, a przy nim i Maćka, który był dopiero przed dwoma dniami przyjechał. Po przywitaniu się ze Zbyszkiem przespał Czech całą noc jak zabity i dopiero na drugi dzień wieczorem poszedł powitać starego rycerza, który będąc strudzon i zły, przyjął go gniewliwie, pytając, dlaczego wedle rozkazania w Spychowie nie został — i udobruchał się nieco dopiero wówczas, gdy ów, znalazłszy sposobną chwilę, w której Zbyszka nie było w namiocie, usprawiedliwił się przed nim wyraźnym rozkazem Jagienki.

Powiedział też, że prócz rozkazu i prócz przyrodzonej ochoty do wojny przywiodła go także w tę stronę chęć, by w razie czego pchnąć zaraz gońca z wiadomością do Spychowa. „Panienka — mówił — która ma duszę jak anioł, sama przeciw własnemu dobru modli się za Jurandównę. Ale wszystkiemu musi być koniec. Jeśli Jurandówna nie żyje, to niech Bóg da jej światłość wiekuistą, boć była jako jagnię niewinne, ale jeśli się odnajdzie, to trzeba panienkę jako najprędzej zawiadomić, aby wraz jechała precz ze Spychowa, nie zaś dopiero po powrocie Jurandówny, jakoby wypędzona, ze sromotą a wstydem”.

Maćko słuchał tego z niechęcią, powtarzając od czasu do czasu: „Nic ci do tego”. Ale Hlawa, postanowiwszy mówić otwarcie, wcale się tym nie tropił i w końcu rzekł:

— Lepiej było pannie w Zgorzelicach ostawać i na nic była ta podróż. Wmawialiśmy w niebogę, że Jurandówna już nie żywie, a może się pokazać inaczej.

— A kto opowiadał, że nie żywie, jeżeli nie ty? — zapytał z gniewem Maćko. — Trzeba było trzymać język za zębami. Ja zaś zabrałem ją, bo się bała Cztana i Wilka.

— Pozór to tylko był — odpowiedział giermek. — Mogła siedzieć w Zgorzelicach bezpiecznie, bo oni by tam sobie wzajem przeszkadzali. Ale baliście się, panie, żeby w razie śmierci Jurandówny nie ominęła pana Zbyszka i panienka, i dlategoście ją zabrali.

— Cóżeś tak zhardział? Zaliś to już rycerz pasowany, nie sługa?

— Sługam ci jest, ale sługa panny, przeto dbam, aby jej hańba nie spotkała.

A Maćko zamyślił się posępnie, gdyż nie był z siebie rad. Nieraz on już sobie wyrzucał, że zabrał Jagienkę ze Zgorzelic, czuł bowiem, że w każdym razie w takim podwożeniu Jagienki Zbyszkowi była jakowaś dla niej ujma, a na wypadek, gdyby Danusia się odnalazła — więcej niż ujma. Czuł również, że w hardych słowach Czecha tkwi prawda, bo choć Jagienkę zabrał dlatego, by ją do opata odwieźć, mógł jednak, dowiedziawszy się o jego śmierci, w Płocku ją zostawić, a tymczasem on ją aż do Spychowa przywiózł, by w razie czego, blisko przy Zbyszku była.

— Dyć mnie to do łba nie przyszło — rzekł jednak chcąc siebie i Czecha stumanić — jeno sama się jechać naparła.

— Jużci się naparła, bośmy w nią wmówili, że tamtej nie ma na świecie, a że braciom bezpieczniej było bez niej niż z nią — więc i pojechała.

— Tyś wmówił! — zakrzyknął Maćko.

— Ja — i moja wina. Ale teraz musi się pokazać, jako jest. Trzeba, panie, co wskórać. Inaczej — lepiej pogińmy.

— Co tu wskórasz — rzekł z niecierpliwością Maćko — z takim wojskiem, w takiej wojnie!… Będzie-li co lepszego, to dopiero w lipcu, bo dla Niemców dwie są pory wojenne: zimą i suchym latem, a teraz to się jeno tli, nie pali. Kniaź Witold podobno do Krakowa pojechał królowi się opowiedzieć i pozwoleństwo a pomoc jego sobie zjednać.

— Są przecie w pobliżu zamki krzyżackie. Gdyby choć ze dwa zdobyć, znaleźlibyśmy może Jurandównę albo wiadomość o jej śmierci.

— Albo i nic.

— W tę stronę ją przecie Zygfryd wywiózł. Powiadali to nam i w Szczytnie, i wszędy, i samiśmy tak myśleli.

— A widziałeś to wojsko? Wyjdźże za namiot i spójrz. Niektórzy pałki jeno mają, a niektórzy miedziane miecze po pradziadach.

— Ba! Jako słyszałem, chłopy do bitki dobre!

— Ale nie im z gołymi brzuchami zamków dobywać, zwłaszcza krzyżackich.

Rozdział siedemnasty

Dalszą rozmowę przerwało im przybycie Zbyszka i Skirwoiłły, który był wodzem Żmujdzinów. Był to mąż małego wzrostu, ale krzepki w sobie i barczysty. Pierś posiadał tak wypukłą, że prawie wyglądała na garb, i niezmiernie długie, sięgające prawie do kolan ręce. W ogóle przypominał Zyndrama z Maszkowic, słynnego rycerza, którego Maćko i Zbyszko poznali swego czasu w Krakowie, miał bowiem równie ogromną głowę i takie same pałąkowate nogi. Mówiono o nim także, że dobrze rozumiał się na wojnie. Wiek życia zbiegł mu w polu przeciw Tatarom, z którymi długie lata walczył na Rusi, i przeciw Niemcom, których nienawidził jak zarazy. W tych wojnach nauczył się po rusińsku, a potem na dworze Witoldowym nieco po polsku; po niemiecku umiał, a przynajmniej powtarzał tylko trzy wyrazy: ogień, krew i śmierć. W swojej ogromnej głowie miał zawsze pełno pomysłów i podstępów wojennych, których Krzyżacy nie umieli ani przewidzieć, ani im zapobiegać — dlatego bano się go w pogranicznych komturiach.

— Mówiliśmy o wyprawie — rzekł z niezwykłym ożywieniem do Maćka Zbyszko — i dlategośmy tu przyszli, byście też swoje doświadczone zdanie rzekli.

Maćko usadził Skirwoiłłę na sosnowym pniaku pokrytym niedźwiedzią skórą, następnie kazał przynieść czeladzi stągiewkę miodu, z której poczęli czerpać rycerze blaszankami i pić, gdy zaś pokrzepili się godnie, dopieroż Maćko zapytał:

— Chcecie wyprawę uczynić albo co?

— Zamki Niemcom okurzyć…

— Któren?

— Ragnetę albo Nowe Kowno.

— Ragnetę — rzekł Zbyszko. — Cztery dni temu byliśmy pod Nowym Kownem i pobili nas.

— To właśnie — rzekł Skirwoiłło.

— Jakże to?

— Dobrze.

— Poczekajcie — rzekł Maćko — bo ja tutejszej krainy nie znam. Gdzie jest Nowe Kowno, a gdzie Ragneta?

— Stąd do Starego Kowna niespełna mila — odpowiedział Zbyszko — a od Starego do Nowego też mila. Zamek jest na wyspie. Onegdaj chcieliśmy się przeprawić, ale pobili nas u przeprawy. Ścigali ci nas pół dnia, aż utailiśmy się w tych lasach, a wojsko tak się rozproszyło, że niektórzy dopiero dziś nad ranem się znaleźli.

— A Ragneta?

Skirwoiłło wyciągnął swe długie jak gałąź ramię na północ i rzekł:

— Daleko! daleko…

— Właśnie dlatego, że daleko! — odparł Zbyszko. — Spokój tam wokoło, bo co było zbrojnych ludzi z tej strony granicy, to ściągnęło ku nam. Nie spodziewają się tam teraz Niemcy żadnej napaści, więc na ubezpieczonych uderzym.

— Słusznie prawi — rzekł Skirwoiłło.

Maćko zaś spytał:

— Zali myślicie, że będzie można i zamku dobyć?

Na to Skirwoiłło potrząsnął głową na znak przeczenia, a Zbyszko odpowiedział:

— Zamek mocny, więc chybaby wypadkiem. Ale krainę spustoszym, wsie i miasta popalim, spyżę poniszczym, a co nade wszystko jeńców nabierzemy, między którymi mogą być ludzie znaczni, a takich chętnie Krzyżacy wykupują alboli też wymieniają…

Tu zwrócił się do Skirwoiłły:

— Samiście, kniaziu, przyznali, że słusznie prawię, a teraz rozważcie jeno: Nowe Kowno na wyspie. Ni tam wsi nie poburzym, ni stad nie zagarniem, ni jeńców nie nabierzem. I przecie dopiero co nas tam pobili. Ej! pójdźmy lepiej tam, gdzie się nas teraz nie spodziewają.

— Kto pobije, ten się napaści najmniej spodziewa — mruknął Skirwoiłło.

Rozdział osiemnasty

Lecz tu zabrał głos Maćko — i począł popierać zdanie Zbyszkowe, zrozumiał bowiem, że młodzianek ma większą nadzieję dowiedzieć się czegoś pod Ragnetą niż pod Nowym Kownem — i że pod Ragnetą łatwiej będzie przede wszystkim schwytać jakiego znacznego jeńca, który by mógł posłużyć na wymianę. Mniemał także, że w każdym razie lepiej jest iść dalej i wychynąć niespodzianie w kraj mniej strzeżony niż porywać się na wyspę od przyrodzenia obronną, a strzeżoną prócz tego przez silny zamek i zwycięską załogę.

Jako zaś człek doświadczony w wojnie, mówił jasno i przytaczał tak walne powody, że każdego mógł przekonać. Tamci słuchali go też uważnie. Skirwoiłło poruszał kiedy niekiedy wzniesionymi brwiami jakby na znak przytakiwania, chwilami pomrukiwał: „Słusznie prawi!” — wreszcie wsunął swą ogromną głowę między szerokie ramiona, tak że wyglądał całkiem jak garbaty, i zamyślił się głęboko.

Lecz po pewnym czasie wstał — i nic nie mówiąc, począł się żegnać.

— A jakoże, kniaziu, będzie? — spytał go Maćko — dokąd ruszym?

Ów zaś rzekł krótko:

— Pod Nowe Kowno.

I wyszedł z namiotu.

Maćko i Czech spoglądali czas jakiś ze zdziwieniem na Zbyszka, po czym stary rycerz uderzył się dłońmi po udach i zawołał:

— Tfu! cóż to za pień!… To niby słucha, słucha, a potem swoje. Żal gęby drzeć!…

— Słyszałem ci ja o nim, że taki jest — odrzekł Zbyszko — a po prawdzie, to i cały tu naród uporczywy jako mało który. Cudzego zdania wysłucha, a potem jakoby kto na wiatr dmuchał.

— To czego pyta?

— Bośmy pasowani rycerze i dlatego żeby każdą rzecz na dwie strony rozważyć. Ale głupi on nie jest.

— Pod Nowym Kownem też może najmniej się nas spodziewają — zauważył Czech — właśnie dlatego, że dopiero co was pobili. W tym miał ci on słuszność.

— Pójdźmy obaczyć tych ludzi, którym ja przywodzę — rzekł Zbyszko, któremu duszno było w namiocie — trzeba im zapowiedzieć, aby zaś byli gotowi.

I wyszli. Na dworze noc już zapadła zupełna, chmurna i ciemna, rozświecona tylko przez ogniska, przy których siedzieli Żmujdzini.

Rozdział dziewietnasty

Dla Maćka i dla Zbyszka, którzy, służąc poprzednio u Witolda, napatrzyli się do syta litewskim i żmujdzkim wojownikom, widok obozowiska nie przedstawiał nic nowego; ale Czech patrzał na nich z ciekawością, rozważając sobie zarazem w umyśle, czego od takich ludzi można w bitwie oczekiwać, i porównywając ich z polskim i z niemieckim rycerstwem. Obóz stał w nizinie otoczonej borem i bagnami, zatem ubezpieczon zupełnie od napadu, albowiem żadne inne wojsko nie zdołałoby przebrnąć przez owe zdradliwe mokradła. Sama nizina, na której stały szałasy, była także grząska i błotnista, lecz oni nakrzesawszy jodłowych i sosnowych gałązek przyrzucili ją nimi tak grubo, że spoczywali jakby na najsuchszym miejscu. Kniaziowi Skirwoille sklecono naprędce coś w rodzaju „numy”, czyli chaty litewskiej z ziemi i drewnianych nie ociosanych bierwion, dla znaczniejszych ludzi uwito z gałęzi kilkadziesiąt szałasów, pospolici zaś wojownicy siedzieli koło ognisk, pod gołym niebem, mając ochronę przeciw zmianom pogody i dżdżom tylko w kożuchach i skórach, które na nagim ciele nosili. W obozie nikt nie spał jeszcze, albowiem ludzie, nie mając po ostatniej porażce nic do roboty, sypiali we dnie. Niektórzy siedzieli lub leżeli wokół jasnych ognisk podsycanych suszem i gałęźmi jałowca, inni grzebali w przygasłych już i zasutych popiołem watrzyskach, od których rozchodził się zapach pieczonej rzepy, zwykłego pokarmu Litwinów, i swąd przypalonych mięsiw. Między ogniskami widniały stosy broni poskładane blisko, tak aby w danym razie łatwo było każdemu za swój oręż pochwycić. Hlawa przypatrywał się z ciekawością oszczepom o grotach wąskich i długich, wykutych z hartownego żelaza, kiścieniom uczynionym z młodych dąbczaków, w które ponabijano krzemieni lub gwoździ, okszom o trzonkach krótkich, podobnych do polskich toporów, którymi posługiwali się jezdni, i okszom o trzonkach tak niemal długich jak u berdyszów, którymi walczyli piesi. Trafiały się między nimi i miedziane, pochodzące z dawnych czasów, kiedy żelazo w małym jeszcze było użyciu w tych zapadłych stronach. Niektóre miecze były również z miedzi, ale większość z dobrej, dostarczanej z Nowogrodu stali. Czech brał w rękę oszczepy, miecze, oksze, smoliste, prażone w ogniu łuki i przy blasku płomienia badał ich doskonałość. Koni niewiele było przy ogniskach, gdyż stada pasły się opodal w lasach i na łąkach pod strażą czujnych koniuchów, ale że znaczniejsi bojarowie chcieli mieć swoje rumaki na zawołanie, przeto było ich w obozie kilkadziesiąt, które niewolnicy pańscy karmili z ręki u toku. Hlawę zdumiewały kudłate ciała tych rumaków, nadzwyczaj drobnych, o potężnych karkach i w ogóle tak dziwnych, że zachodni rycerze poczytywali je za jakieś całkiem odmienne zwierzęta leśne, więcej do jednorożców niż do prawdziwych koni podobne.

— Na nic tu wielkie, bojowe ogiery — mówił doświadczony Maćko, wspominając swoje dawne służby u Witolda — bo wielki zaraz w młakach ugrzęźnie, a tutejszy chmyz przejdzie wszędy, tak prawie jako i człowiek.

— Ale w polu — odrzekł Czech — tutejsze wielkim niemieckim nie dostoją.

— Jużci nie dostoją. Za to nie ucieknie Niemiec przed Żmujdzinem ani też go nie zgoni, bo te są tak właśnie ścigłe albo i ściglejsze niż tatarskie.

— A wszelako dziwno mi to jest, bo com widział jeńców Tatarów, których rycerz Zych do Zgorzelic przyprowadził, to chłopy były nieduże i takiego byle koń udźwignie, a to lud rosły.

Rozdział dwudziesty

Lud zaś istotnie był dorodny. Przy blasku ognia widać było spod skór i kożuchów szerokie piersi i tęgie ramiona. Chłop w chłopa suchy był, ale kościsty i długi, w ogóle zaś wzrostem ludzie ci przewyższali mieszkańców innych krain litewskich, albowiem siedzieli na ziemiach lepszych i obfitszych, w których głody, trapiące kiedy niekiedy Litwę, rzadziej dawały się we znaki. Natomiast dzikością przewyższali jeszcze Litwinów. W Wilnie był dwór wielkoksiążęcy, do Wilna ściągali księża ze Wschodu i Zachodu, przychodziły poselstwa, napływał kupiec zagraniczny, przez co mieszkaniec miasta i okolicy oswajał się nieco z obczyzną; tu cudzoziemiec zjawiał się tylko pod postacią Krzyżaka lub Mieczowego Kawalera, niosących w głuche leśne osady ogień, niewolę i chrzest z krwi, więc wszystko tu było grubsze, surowsze i bardziej do dawnych czasów zbliżone, bardziej przeciw nowościom zawzięte; starszy obyczaj, starszy tryb wojowania, a i pogaństwo uporczywsze, dlatego że czci Krzyża nauczał nie łagodny zwiastun Dobrej Nowiny z miłością apostoła, lecz zbrojny niemiecki mnich z duszą kata.

Skirwoiłło i znaczniejsi kniazie a bojarzyny byli już chrześcijanami, albowiem poszli za przykładem Jagiełły i Witolda. Inni, nawet najprostsi i najdziksi wojownicy, nosili w piersiach głuche poczucie, że nadchodzi śmierć i skon dawnemu światu, dawnej ich wierze. I gotowi byli pochylić głowy przed Krzyżem, byle tego Krzyża nie wznosiły niemieckie nienawistne ręce. „My prosimy chrztu — wołali do wszystkich książąt i narodów — lecz wspomnijcie, że ludzie jesteśmy, nie zwierzęta, które można darować, kupić i przedać”. Tymczasem, gdy dawna wiara gasła, jak gaśnie ognisko, do którego nikt drew nie przyrzuca, a od nowej odwracały się serca właśnie dlatego, że wmuszała ją niemiecka przemoc, rodziła się w ich duszach pustka, niepokój i żal po przeszłości, i głęboki smutek. Czech, który od dziecka zrósł się z wesołym gwarem żołnierskim, z pieśniami i szumną muzyką, widział po raz pierwszy w życiu obóz tak cichy i posępny. Ledwie gdzieniegdzie, przy dalszych od Skirwoiłłowejnumy ogniskach, słychać było odgłos fujarki lub piszczałki, albo słowa przyciszonej pieśni, którą śpiewał „burtinikas”. Wojownicy słuchali z pochylonymi głowami i oczyma utkwionymi w zarzewie. Niektórzy siedzieli w kucki wedle ognia, mając łokcie wsparte na kolanach, a twarze ukryte w dłoniach, okryci skórami, podobni do drapieżnych zwierząt leśnych. Lecz gdy podnosili ku przechodzącym rycerzom głowy, blask płomienia oświecał twarze łagodne i niebieskie źrenice, wcale nie srogie ni drapieżne, ale tak raczej patrzące, jak patrzą smutne i pokrzywdzone dzieci. Na krańcach obozowiska leżeli na mchach ranni, których zdołano unieść z ostatniej bitwy. Wróżbici, tak zwani „łabdarysy” i „sejtonowie”, mruczeli nad nimi zaklęcia lub opatrywali ich rany, przykładając na nie znane sobie zioła gojące, a oni leżeli w milczeniu, znosząc cierpliwie ból i męki. Z głębin leśnych, od strony polan i ługów, dochodziło poświstywanie koniuchów, kiedy niekiedy podnosił się wiatr przysłaniając dymami obozowisko i napełniając szumem bór ciemny. Ale noc czyniła się coraz późniejsza, więc ogniska poczęły mdleć i gasnąć i cisza zapadła jeszcze większa, potęgując owe wrażenie smutku i jakby pognębienia.

Zbyszko wydał rozkaz gotowości ludziom, którym przywodził i z którymi łatwo mógł się rozmówić, albowiem była między nimi garść Połocczan, po czym zwrócił się do swego giermka i rzekł:

— Napatrzyłeś się do woli, a teraz czas wrócić pod namiot.

— Jużci się napatrzyłem — odpowiedział giermek — alem nie bardzo rad z tego, com widział, bo zaraz znać, że to pobici ludzie.

— Dwa razy: cztery dni temu przy zamku i onegdaj u przeprawy. A teraz chce się Skirwoille trzeci raz tam iść, by trzeciej porażki doznać.

— Jakże, to on nie rozumie, że z takim wojskiem przeciw Niemcom nie wskóra? Powiadał mi to już rycerz Maćko, a teraz i sam miarkuję, że liche to muszą być i do bitki pachołki.

— I w tym się mylisz, bo to lud chrobry jak mało który w świecie. Jeno się kupą bezładną biją, a Niemcy w szyku. Jeśli się uda szyk rozerwać, to częściej Żmujdzin Niemca niż Niemiec Żmujdzina położy. Ba, ale tamci to wiedzą i tak się zwierają, że jako ściana stoją.

— A już o zamków dobywaniu to pewnie nie ma co i myśleć — rzekł Czech.

— Boć nijakiego sprzętu do tego nie ma — odpowiedział Zbyszko. — Sprzęt ma kniaź Witold i póki ku nam nie nadciągnie, nie ugryziem żadnego zamku, chybaby trafunkiem albo zdradą.

Tak rozmawiając, doszli do namiotu, przed którym płonął duży, podsycany przez czeladź ogień, a w nim kopciły się przygotowane przez czeladź mięsiwa. W namiocie chłodno było i wilgotno, więc rycerze, a z nimi i Hlawa, pokładli się przed ogniem na skórach.

Za czym posiliwszy się, próbowali zasnąć, lecz nie mogli. Maćko przewracał się z boku na bok, a następnie ujrzawszy, że Zbyszko siedzi przed płomieniem, otoczywszy ramionami kolana, zapytał:

— Słuchaj! Dlaczegoś ty radził iść daleko pod Ragnetę, nie tu blisko pod ten Gotteswerder? Co masz w tym?

— Bo tak mi coś do duszy gada, że Danuśka jest w Ragnecie — i tam się mniej strzegą niż tu.

— Nie było czasu się rozgadać, bom i sam był utrudzon, i tyś ludzi po boru po klęsce zbierał. Ale teraz mówże, jako jest: chcesz-li ty zawsze tej dziewki szukać?

— Dyć to nie żadna dziewka, jeno moja niewiasta — odpowiedział Zbyszko.

Nastało milczenie, albowiem Maćko rozumiał dobrze, że nie masz na to odpowiedzi. Gdyby Danuśka była dotychczas panną Jurandówną, byłby niechybnie stary rycerz namawiał bratanka, by jej poniechał, ale wobec świętości sakramentu poszukiwanie stawało się prostą powinnością i Maćko nie byłby nawet zadawał takiego pytania, gdyby nie to, że nie będąc obecny ni na ślubie, ni na weselu, mimowiednie uważał Jurandównę zawsze za dziewkę.

— Jużci! — rzekł po chwili. — Ale o com przez te dwa dni miał czas się spytać, tom się spytał, i rzekłeś mi, że nic nie wiesz.

— Bo nic nie wiem, jeno to, że chyba gniew boski jest nade mną.